1845. Nr 21. ROK 4.

Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

PAN WOJCIECH i PAN STANISŁAW.

OBRĄZKI.

(Dokończenie).

3. Pan Stanisław.

Szeroka łąka rozdziela dziedziny dwóch braci. Za tą, zaczynają się pola P. Stanisława, Z uprawy roli poznać gospodarza! Jak tu wszystko mile wpada w oko! Obszerne niwy, na różne podzielone poletki, zaraz przekonały o sposobie gospodarowania. Droga przechodziła między główne dwa oddziały pól. Z jednéj jéj strony bujna pszenica, już raz skoszona, posłużyła na paszę dla krów. Gęsta koniczyna niedługo doczeka się pierwszego częściowego pokosu. Wyka już do pewnéj wzrosła wysokości, która jako przedplon zasiana, wcześnie będzie sprzątnięta. Wjechałem do wsi po-

rządnie zabudowanéj. Na drodze spotkałem dzieci dążące do dworu z książkami w ręku. Jakże przyjemnie zadziwił mnie ten widok! Późniéj o tém obszerniéj mówić będę.

Zajechawszy przed Dwór, zastałem tam prawie całą wieś zebraną. Na turkot mojéj bryczki wyszedł P. Stanisław. Już tą razą nie wystawiałem się na scenę niepoznania; owszem, pragnąc jéj uniknąć, od razu powiedziałem kto jestem.

— Spadłeś mi jak z nieba! zdziwiony zawołał P. Stanisław.

Uściskaliśmy się serdecznie. Widocznie w piérwszéj zaraz chwili przywitania, przeczuliśmy że będziemy z sobą sympatyzowali.

— Co cię sprowadziło w moje strony? Co było przyczyną żeś do mnie zajechał? Szczęśliwemu tylko wypadkowi zapewne winienem przypisać to, że się tak niespodzianie widzimy!

Opowiedziałem mu historiję złamanego koła.

— Z całego serca cieszę się z tego wypadku.

— Ja wcale nie mam powodu temu złorzeczyć; inaczéj przejechałbym miasteczko S** nie wiedząc że mieszkasz tak blisko.

— Ale radość oglądania ciebie zrobiła mnie niegrzecznym, tak długo trzymam cię przed domem!

Weszliśmy do piérwszego pokoju. Poznałem z rozłożonych rejestrów, żem przerwał P, Stanisławowi rozpoczęte rachunki i zacząłem przepraszać.

— Nic to nie szkodzi, zaraz wrócę do roboty. Mam tygodniowy obrachunek z gromadą; muszę go skończyć aby włościanie mieli czas iść do kościoła; dla tego przedstawiwszy cię żonie, z którą mam nadzieję że się nie znudzisz, sam tymczasem rachunek ukończę.

— Zapewne i żona twoja jest zajęta, może jeszcze nie ubrana; zaczekam w twoim pokoju.

— Widzę że moję żonę masz za jakąś damę, czytającą romanse do północy, śpiącą do południa, a ubiérającą się gdy waza już na stole. Może myślisz żeś zajechał do dworu gdzie dziedzic jednéj wioski chce małpować magnatów. Na szczęście zupełnie

się omylisz. Żona moja do téj pory już wszędzie była, wszystko urządziła na dzień cały, ubrana oddawna jest u dzieci, lub modli się w swoim pokoju, nim nadejdzie czas wyjazdu do kościoła.

P. Stanisław wprowadził mnie do pokoju żony, w przekonaniu, że tam wszystko zastanie na swojém miéjscu; że nic nie znajdzie takiego, co by gospodynię domu zmięszać mogło. Jednocześnie z nami weszła tam z pokoju dziecinnego przyjemnéj postaci kobiéta.

— Przedstawiam ci Marijo Pana*** jest mój szkolny przyjaciel, nim skończę obrachunek z gromadą zabaw naszego gościa.

Po tém przedstawieniu wyszedł P. Stanisław, pozostawiwszy nas sam na sam. Gospodyni domu usiadła na małéj pod oknem stojącéj kanapie i wskazała ręką blisko będące krzesło. Zaczęła rozmowę najmniejszego nie czując przymusu. W kobiécie, przyzwyczajonéj do wielkiego świata, łatwość znalezienia się, nie byłaby zwróciła mojéj uwagi, ale ta naturalność w obejściu kobiéty na wsi wychowanéj i na wsi żyjącéj, zastanowiła mnie i w téj saméj chwili przekonała o czystości jéj duszy. Widać było że nigdy myśl wsteczna nie powstała w jéj głowie i o takową nikogo nie posądzała.

— Czyś Pan od wyjścia ze szkół nie spotkał w świecie mojego męża?

— Nie miałem téj przyjemności, którą teraz tém mocniéj czuję, gdyż w szkołach, żyliśmy z sobą w przyjaźni.

— Pojmuję radość męża, którą z nim podzielam wiedząc jak on zdolnym jest czuć przyjaźń. Ale jest cokolwiek pedantem bo mógłby ludzi oddalić a zająć się gościem. Nie bierz mu Pan tego za złe. Gospodaruje z zamiłowaniem, a stosunki z włościanami uważa za tak święte, że poczytał by sobie za grzech śmiertelny, gdyby nie załatwił interesów, skoro przyszli do niego.

— Oddajesz Pani mężowi pochwałę najpiękniejszą jaką otrzymać może obywatel-ziemianin. Takie postępowanie, z żalem powiedziéć trzeba, jest wyjątkowe, a tém samém zaszczytne dla tych co ten wyjątek stanowią. Akuratność w stosunkach z włościanami jest potrzebniejszą niż gdziekolwiek indziéj. Nie umieją

oni usprawiedliwić choćby najniewinniejszego uchybienia. Często zawodzeni złą wiarą, tracą tak potrzebną ufność do swych Panów.

Przerwał tę rozmowę śliczny chłopczyk, lat ośm mieć mogący, który, wyszedłszy z pokoju dziecinnego biegł ku matce. Gdy mnie spostrzegł, zatrzymał się, cokolwiek zawstydzony, nie tracąc jednak przytomności, ukłonił się, przybliżył do matki, i cóś do niéj mówił po cichu. Uśmiechnęła się P. Marija, z czułością całując syna i rzekła:

— „Wacławek przyszedł mi oznajmić szczęśliwą dla niego nowinę że jeden z jego uczni już zaczął syllabizować. Potrzeba żebyś Pan wiedział że mamy szkołę niedzielną. Nauczycielami téj szkółki są moje dzieci.

— Domyślałem się tego Pani, gdy wjeżdżając do dworu, spotkałem dzieci wiejskie idące z książkami. Przykład godny naśladowania!

— O zapewne! odrzekła P. Marija, szkoda wielka że ten zwyczaj zbawienny dla włościan, nie jest upowszechniony. Nie każdy jest tyle majętny, aby mógł utrzymać formalną szkółkę i opłacać nauczyciela. Zresztą do upowszechnienia szkołek, (o czém nie raz z mężem mówiłam) dwie ważne zachodzą przeszkody. 1. Że do téj pory jest wielki brak nauczycieli wiejskich, którzyby godnie temu powołaniu odpowiadali. 2. Obowiązki pańszczyzniane, nie dozwalają włościanom korzystać z tak dobroczynnych zakładów. Dopóki te dwie przeszkody usuniętemi nie zostaną, dopóty nie można myśleć o ogólnéj tak pożądanéj oświacie włościan. Nim to jednak nastąpi (bo nie wątpię że z czasem nastąpić musi) pragnęłabym, żeby niedzielne szkółki były zaprowadzone w każdym dworze, w którym właściciele dzieci swe mają przy sobie. Nie tylko byłoby to korzystném dla włościan, ale i dla dzieci naszych. Uważałam że moje, odkąd zaczęły być nauczycielami, same z większą uczą się pilnością. Zbliżając się do Ludu, poznają go, i miłość ku niemu w sobie krzewią. Nabywają cierpliwości i przekonywają się ile jéj potrzebują ci, co się ich nauczaniem zajmują. Kiedy moje dzieci jako zbyt młode, czasem się znudzą, skoro mnie spostrze-

gą, zawstydzone, z nową ochotą zaczynają nauczać. A jakże jeszcze wielka w tém korzyść że dzieci nasze w piérwszéj młodości poznają iż można i potrzeba być użytecznym swoim bliźnim. Zaledwo same uczyć się poczęły, już odnoszą korzyść z nauki, z innemi dzieląc się tem, co umieją. Jeżeli zdołają oświecić razem z niemi wzrastające pokolenie, czyż nie mogą być pewnemi radości z zadośćuczynienia wewnętrznému przekonaniu a nawet spodziewać się mogą pewnéj powolności, przyszłych swoich podwładnych! Nie téj uległości którą bojaźń i poddaństwo wzbudza, ale téj szczeréj, z przywiązania pochodzącéj. A jak to zbawienne lekarstwo, dla wcześnie rosnących w śmieszną dumę dzieci *Pańskich* gdy mają przed oczyma przykład, iż nie jedno z dzieci wiejskich lepiéj od nich się uczy? a tém samém więcéj warto! Przykro mi gdy widzę w sąsiedztwach dzieci nudzące się w niedziele lub święta, albo oddające się rozpustnéj swawoli, gdy mogły-by daleko lepiéj użyć wolnego czasu! Nie śmiej się Pan z zapału wieśniaczki. Przyznaję że nie mogę z zimną krwią myśleć i rozmawiać o tém, że tak łatwy sposób rozszerzania oświaty między Ludem naszym, zupełnie jest zaniedbany!!

— Zaręczam że ten zapał Pani, jest w moich oczach godnym uwielbienia, bo jest szlachetny i nieocenione przyniósł by korzyści, gdyby tylko był powszechniejszym. Ja daléj bym posunął moje w téj mierze żądanie. Pragnąłbym aby nietylko drobne dzieci zajmowały się szkółką. Ileż to po dworach jest Panien, które wróciwszy z Pensyj, lub domowe skończywszy wychowanie, jeżeli im łaskawe nieba nie dały takiéj matki jak Pani.....

— „Komplement!“

— Mówię bez komplementu.... źle używają czasu, bo często, jako dorosłe, sądzą że im wolno czytać liche romanse francuzkie, których czytać im nie bronią, często nie znającego tego języka matki, lub niecierpliwie natężają wzrok i słuch, czy nie ujrzą lub usłyszą turkotu zajeżdżającéj cztéro-konnéj bryczki. Młode Panienki, do pewnego czasu są w żądaniach skromne i więcéj się cieszą ujrzawszy kawalerską bryczkę niżeli paradne lando.

Nawet piérwszemi lepiéj lubią wyjeżdżać na niespodzianie zaimprowizowany podwieczorek do lasku, jeżeli właściciel bryczki ofiaruje się zostać woźnicą. Zamiast więc tego tracenia czasu na czytanie romansów, lub oczekiwanie gościa, gdyby się zajęły szkółką niedzielną, czas dobrze użyty prędzéj by zszedł i gość oczekiwany, pewnie prędzéj by zajechał.

— Może cokolwiek złośliwie ale zawsze prawdę Pan powiedziałeś. Kiedym znalazła w Panu takiego zwolennika szkółki niedzielnéj, poproszę, żebyś ją zechciał odwiedzić.

Przeszliśmy do przyległego pokoju. Państwo Stanisławostwo mają troje dzieci, uczniowie na trzy oddzielne gruppy byli podzieleni. Najstarsza córeczka, uczyła starsze dziewczęta, które już czytać zaczynały, Średni syn uczył chłopców, a najmłodszy, nauczał liter dzieci płci obojéj. Nauka szła z powagą, jakiéj się nigdy nie mogłem spodziewać, gdy najstarszy z nauczycieli, to jest córeczka, zaledwo rok trzynasty liczyła. Dzieci naszém przyjściem nie zmięszane, zaledwo na nas spojrzały, wnet oczy wlepiły w książkę i z wszelką przytomnością wymieniały wskazywane sobie litery i zgłoski. Jak-by się tym widokiem ucieszył Jachowicz! lub podobny jemu filantrop-pedagog!!

Czas przeznaczony na naukę zbliżał się do końca, dzieci zamknęły książki. Nauczycielka odczytała zwolna i wyraźnie, jeden ustęp z Historyi Świętéj Brodzińskiego, a następnie zadawała zapytania. Prawda że czasem zdarzały się odpowiedzi, z których pełna powagi nauczycielka głośno się rozśmiała, lecz były i takie co dowodziły dobrego pojęcia i uwagi. W końcu nauczyciele i uczniowie, razem uklęknąwszy po cichu powtarzali pacierz, przez jednego z uczniów głośno mówiony. Po skończeniu pacierza wszyscy powstali, uczniowie ucałowali rękę nauczycielki i wyszli ze szkoły. Jakaż rozkosz była widzieć rozczuloną i uszczęśliwioną matkę! z oka łzy radości napełnionego, błyszczała miłość macierzyńska, to święte, najpiękniejsze uczucie kobiéty!..

— Jesteś Pani szczęśliwą matką! (rzekłem) umiałaś wynaleść źródło pociechy w dzieciach, którego inne matki wynaleść zanie-

dbują; a tém samém pozbawiają się szczęścia, jakiego tylko dobrzy kosztować mogą!"

Pani Marija czuła że prawdę mówię, z wyrazem wdzięczności na mnie spojrzała, ale nie powiedziała że to komplement. Dla czegożby jéj nie wolno było znać swoję wartość i czuć że dobre postępowanie dzieci jest owocem macierzyńskich starań? Wszedł P. Stanisław.

— Byłem pewnym (zawołał) że cię tu moja żona przyprowadzi. Cóż mówisz na nasz pomysł urządzenia szkółki niedzielnéj?

— Już powiedziałem, że uwielbiam jéj twórców.

— Nié mam pieniędzy na nauczyciela, a nie chciałbym żeby włościanie płacili za to, czego wartości, w ogóle biorąc, jeszcze nie pojmują. Mam jednak nadzieję że jeżeli ten początek pożądane przyniesie owoce, z-czasem włościanie sami, dobrowolnie przyłożą się do utrzymania nauczyciela. Marijo! czas nam dać śniadanie."

Wyszła Pani Marija, Mąż jéj obracając się do mnie rzekł.

— Przez tego Anioła jestem szczęśliwym mężem i Ojcem. Sama prawie dotąd, przy małéj z mojéj strony pomocy, trudni się wychowaniem i nauczaniem dzieci. Na przyszły rok będziem mogli przyjąć nauczyciela, któryby przysposobił chłopca do 3 klassy. Córkę sami uczyć będziemy. Mam nadzieję, że to co kobiéta umieć powinna, sami ją nauczyć zdołamy; a nie będąc oddaloną z pod oka matki, nie nauczy się tego czego umieć nie powinna, a czego przy wychowywaniu za domem uniknąć nie podobna.

Przy śniadaniu toczyła się dalsza rozmowa o wychowaniu dzieci. Żałuję, że jéj tu przytaczać nie miejsce. Wtém zaszedł powóz: P. Stanisław rzekł do żony:

— Jedź tą razą bezemnie, z dziećmi do kościoła, ja zostanę z gościem. Muszę mu przecie pokazać gospodarstwo, wszędzie oprowadzić.

— Ja myślę, rzekła gospodyni, że nas Pan tak prędko nie opuści?

— Z prawdziwym żalem, jutro będę musiał odjechać.

— Kiedy tak, to pozostań z gościem.

Pani Marija z dziećmi wsiadła do powozu. Mąż żegnając się z nią, przypomniał aby Proboszcza zaprosiła na objad. Gdy powóz odszedł, rzekł do mnie:

— Poznasz godnego kapłana w naszym Proboszczu; rozsądny, wyrozumiały, łagodny, przykładnie się prowadzący, wszędzie za prawdziwego przyjaciela uważany, wszędzie mile przyjmowanym bywa. Nie będę ci go więcéj opisywał, sam go lepiéj ocenisz.

Następnie obeszliśmy całe gospodarstwo. Nie wdając się w szczegółowe opisy, powiem w ogóle, żem miał nową sposobność przekonać się, że choćby w najmniejszéj wiosce porządnie gospodarując można być.... szczęśliwym. Wszystko okazywało zaprowadzony porządek. Sprzęty gospodarcze, inwentarz pociągowy i t. p. wszystko dobrze utrzymane; wszystko na swojem miejscu. Po tym przeglądzie, wróciliśmy do domu. P. Stanisław wprowadził mnie do swego pokoju. Jak różny widok od pokoju P. Wojciecha! Papiery i książki wyraźnie na dwa oddziały były podzielone. W jednéj stronie urzędowe, Wójta Gminy, w drugiéj książki agronomiczne i mnóstwo innych rozmaitéj treści. Wszedłszy tu, doznałem jakiéjś trudnéj do opisania swobody.

— Widzę Stasiu, że lubisz czytać, lubisz myśléć; urządzenie twego pokoju jasno mnie o tém przekonywa.

— Czy cię to dziwi! miałeś mnie za barbarzyńcę!?

— Nie dziwi mnie bynajmniéj, ale cieszy nieskończenie.

— Podobny pożądany widok nie jest rzadkim, ale téż nie jest upowszechnionym. Powiedz mi czy i w twoich stronach są jeszcze tacy, co czytanie książek uważają za niepotrzebną stratę czasu?

— Są niestety! ale przyznać muszę że tych nie wielka liczba. Czytanie dosyć się upowszechnia. Bardzo wielu pojmuje, że można się korzystniéj zabawić w domu czytając książkę, niżeli jechać choćby o milę aby grać w wista.

— „W początku kiedym osiadł i zaczął bywać w okolicy, z przykrością spostrzegałem, jak nieraz sąsiedzi spotkawszy się po długiem niewidzeniu z sobą, gdy się już rozmówili o cenie

zboża w miasteczku, o ilości jaką kopa wydaje, brali się do kart, przy których do północy przesiedzieli. Nie zdarzyło mi się słyszéć rozmowy o ulepszeniu gospodarstwa, poprawie pól, łąk, zaprowadzeniu nowéj kolei obsiewów. Z gorętszą niżeli dziś imaginaciją, pragnąc dążyć do ulepszenia w gospodarstwie, musiałem szukać rady w książkach. Przed tobą, bez obawy okazania się zarozumiałym, śmiało powiedzieć mogę, że dużo z tego czytania skorzystałem. Oczapowski i Chłapowski byli mojemi nauczycielami. Nie chwytałem się nowych środków, bez głębokiéj rozwagi i długiego namysłu. Starałem się zawsze dokładnie rozpoznać moją ziemię, stosunki miejscowe, i dopiéro po kilku latach zaprowadziłem zmiany jakie uważałem za najstosowniejsze. A i w zaprowadzeniu tych zmian, bardzo byłem ostrożny, zwolna je upowszechniając. Ekonom, który jeszcze za mego ojca tu gospodarował, nie wpiérw pogodził się z mojemi wyobrażeniami, aż zaczął zbierać po kilkadziesiąt fur koniczyny i wyki. Pomnożona ilość paszy, a tém samém i ilość utrzymywanego inwentarza; dostatecznym była bodzcem w zachęceniu do przyjęcia mego systematu. Dziś wszystko uporządkowane, idzie Bogu dzięki nie źle. Mam nawet tę pociechę, żem zyskał pochwałę starszych gospodarzy. Jestem tego przekonania, że tylko nietrafne zastosowania zniechęcą do nowych choćby najlepszych teorij. Nie wszyscy czytają, ale wszyscy się patrzą. Jeżeli któś nierozważnie chwyci się jakiejś nowości, musi nietylko sobie zaszkodzić, ale wywrze szkodliwy wpływ na tych, co sami nie czytając, sądzą o teorij podług tego, jak ją widzą w praktyce zastosowaną, nie pomyślawszy o tém czy to teorija, czy téż niewłaściwe jéj zastosowanie jest złego przyczyną.

Następnie mówiliśmy o literaturze. P. Stanisław czytuje wszystkie pisma czasowe polskie, wszystkie nowe dzieła, i rozsądne o nich ma zdanie. Czas na rozmowie tak szybko nam upłynął, takieśmy się zagadali, żeśmy nawet nie spostrzegli kiedy P. Marija wróciła z kościoła. Weszła do pokoju męża, z miłym uśmiechem, i niby obrażona, rzekła do nas:

— Nie bardzo Panowie grzeczni! Nie godziło się nie wyjść na moje przyjęcie!

— Zarzut słuszny, rzekł P. Stanisław, mam jednak nadzieję że nam to poniewolne uchybienie z zwykłą dobrocią przebaczysz.

— Pański przyjaciel a mój małżonek, bardzo często odwołuje się do mojéj dobroci.

— Widać żeś go Pani do tego przyzwyczaiła; jestem jednak pewny że jéj nie nadużywa.

Spojrzała na męża okiem przywiązanéj żony, widać było z tego spojrzenia, że nie mieli nigdy sobie nic do przebaczenia, chociaż już rok czternasty żyją z sobą. Mąż rozsądny, wyrozumiały a tém samém delikatny; żona przy rozsądku łagodna, kochająca męża i mająca w nim zupełne zaufanie. Wprzód nim się połączyli, dobrze się wzajemnie poznali i ocenili. Cóż dziwnego, że czas, który niszczy romansowe uczucia i studzi romansowe małżeństwa, ich coraz więcéj zbliża do siebie, gdy coraz więcéj odkrywają w sobie przymiotów. Marija poszedłszy za mąż, nie zaniedbywała miłych talentów, któremi uprzyjemniała nie jednę chwilę sobie i mężowi. Dziś, córka od matki nauczona, może nie gra z wielką biegłością, ale z wielkim gustem grywa trudniejsze nawet sztuki teraźniejszych kompozytorów. Kiedy to piszę, przypomina mi się miłe wrażenie, z jakiém słuchałem serenady Szuberta, drobnemi wygranéj rączkami. Czucie, nad wiek w grze się przebijało. Rodzice byli zachwyceni. Nic naturalniejszego! Najmniejszy postęp dzieci, tyle uszczęśliwia każdych rodziców, a więcéj tych, którzy sami zajmą się ich wychowaniem. Nie raz czyniłem sobie to zapytanie: dla czego Panny, dopóki są Pannami, czy która ma ten talent lub nie, starają się koniecznie grać na fortepijanie. Poszedłszy za mąż, nawet te, co jeżeli nie talent, to przynajmniéj łatwość posiadały, tak dalece zaniedbały muzykę, że późniéj zaledwo potrafiły zagrać mazurka skaczącym swym dzieciom? Usprawiedliwić tego brakiem czasu nie podobna. Obowiązki żony, matki i Pani domu, nie są ciężarem bez wytchnienia. Potrzeba tylko stosownie użyć téj wytchnienia chwili. Jednocześnie

kiedym sobie to myślał, wszedł ksiądz Proboszcz. Człowiek blisko lat 60 mający, obdarzony był tym miłym, spokojnym wyrazem twarzy, który do siebie pociąga, bo jest obrazem czystéj duszy. Wyraz ten stokroć jest pożądańszym w osobie duchownego stanu; wzbudza zaufanie i uszanowanie razem. Zostałem przedstawiony ks. Proboszczowi jako przyjaciel gospodarza domu. Siadając do objadu, napiliśmy się doskonałéj wódki, przyprawy gospodyni. Późniéj, gdy w ciągu objadu rozmowa coraz żywszą się stawała, odezwałem się do ks. Proboszcza:

— Piliśmy wódkę przed obiadem, co będziem robili jak się upowszechni towarzystwo wstrzemięźliwości?

Rozśmiał się ks. Proboszcz i odpowiedział: to nie będziem do niego należeli. Nie mam zaszczytu być Panu znanym, ale mój kollator zaświadczy że nie jestem pijakiem, nawet nie codziennie piję wódkę. Używanie tego trunku nie jest wcale dla mnie potrzebą, lecz czasem mi się zdarza iż wyjeżdżając do chorego, w czasie zimnym, lub słotnym, zwłaszcza kiedy wyjazd wypadnie nagły do dnia, gdy nié ma czasu czekać na gotowane śniadanie, wypiję kieliszek wódki; bo pomimo wszelkich zachęcań Towarzystwa wstrzemięzliwości, czuję, że w moim wieku naczczo, nie zdrowo by było na parę godzin oddalać się, często do umierającego, zaraźliwą chorobą dotkniętego. Co się zaś tycze włościan, dla nich również uważałbym za niestosownêm wymaganie, aby wcale nie pili wódki. Wieśniakowi, przy pracy, kieliszek nietylko że nie zaszkodzi, ale często sił dodaje. Czyż nie mamy tego przykładu przed oczyma, zwłaszcza tyle utrudzającego żniwa? Żniwiarz, po napiciu się wódki pracuje ochoczo; nie dla tego żeby się wywdzięczył za poczęstowanie, ale dla tego że mu przybyło krzepkości. Dla przekonania się lepszego w téj mierze, dnia jednego, oświadczyłem żniwiarzom z rana na polu, że mi wódki zabrakło, i że każdemu z nich porcyję zapłacę. Pewni wynagrodzenia, robili z chęcią, ale częściéj spoczywali niż po napiciu się wódki. A cóż dopiéro mówić przy kopaniu kartofli w późnéj nieraz jesieni? kiedy ludzie wychodzą na czczo a późniéj żywią się

zziębniętym barszczem! Włościanie nasi nie używający mięsa tylko przy weselach, raz na rok na wielkanoc, lub jeżeli któremu nieszczęśliwy wypadek każe bydle dorznąć, poprzestając na barszczu i kartoflach, lub kluskach żytnych; podług mnie nie grzeszą jeżeli czasem wypiją kieliszek wódki. Nigdy więc nie wymagał bym, a nawet od ofiarujących, nie odbierałbym przysięgi zupełnego wyrzeczenia się wódki (wyłączając chyba nałogowych pijaków, nie mogących się inaczéj utrzymać w mierze) — ale tylko *obietnicę* trzeźwości. Dla tego mówię *obietnicę tylko* bo przewiduję, że pijąc, można przebrać miarkę, a nie chciałbym ludzi narażać na krzywoprzysięstwo. Gdyby przyszło wszystkiego się wyrzec z czego wyradza się nadużycie, pytam się, coby nam pozostało? Należało by nam się wrócić do piérwotnego stanu. Pokażcie mi Panowie cokolwiek z tego, co cywilizacija nasza konieczną potrzebą zrobiła, gdzieby się nie wkradły nadużycia? Wszakże to da się zastosować nie tylko do zaspokojenia pragnienia, głodu, do odzienia; ale nawet do używania praw obywatelskich. Anglicy, Francuzi, uważają się za szczęśliwych, a przecież ileż przestępstw przy wyborach, lub szykan w Parlamencie. Ale za odległe przejście od kieliszka wódki przy stole w naszéj Olszowéj, do parlamentu angielskiego, przepraszam za to kazanie.

— Ks. Proboszcz nigdy nie masz potrzeby przepraszać za swoje kazania, odezwała się gospodyni; ale raczéj za to że je nie często miewasz!

Przyjemną była Proboszczowi ta pochwała i odrzekł: Nié ma w tém zasługi Pani Dobr. że mówiąc z serca, trafię do serca. Jako kaznodzieja wiejski, pochodzący z ludu, staram się mówić tak, aby mnie lud prosty zrozumiał. Odzywanie się wyłączne do Panów, a jeszcze gorszym stylem, napuszonym licznemi cytacijami, w kościele wiejskim, uważam za niestosowne. Napominając ich bezposrednio, wytykając bezpośrednio, wytykając ich zdrożności po prostu, bez ogródki pokazałbym włościanom, że Panowie nie więcéj od nich warci. Mojem zaś zdaniem ci biedni, nieoświeceni, potrzebują mieć przekonanie, że oświata czyni ludzi lepszymi.

Tak śmiało mówiąc o panach przy moim Kollatorze, daję dowód jak go cenię, jak dalece uważam go za lepszego od tych, o których mówię w ogólności.

— Księże Proboszczu! co ci się stało że mi mówisz grzeczności! Ty tak dalece pochlebiać nie lubisz.

— Pochlebiać nigdy! ale chwalić co pochwały godne, jest nawet obowiązkiem mojego stanu.

Chcąc uniknąć dalszéj pochwały P. Stanisław rzekł do mnie:

— Muszę ci też powiedzieć, jak się raz wywiązał nasz kochany Proboszcz z pochwalnego kazania, na pogrzebie pewnego sąsiada. O zmarłym nie było nic do powiedzenia; cóż więc robi? Oto wystawia nam bardzo wymownie obowiązki dobrego obywatela. Przedmiot ważny, pięknie i wszechstronnie przez kazącego rozebrany, na każdym mocne zrobił wrażenie. Nic przez cały czas nie mówiąc o nieboszczyku, w końcu tylko dodał „O ile ś. p.**** zbliżył się do wzoru tu podanego, sami najlepiéj ocenić potraficie.“ „Mowa była prześliczna. Krewni dziękowali za nią w przekonaniu że zmarły bardzo pochwalonym został.“

— „Był to niewinny, ale potrzebny wybieg. O zmarłych nie godzi się źle mówić. Pan Bóg ich sądzi“ — Odrzekł Proboszcz z udaną dobrodusznością, jak gdyby nie czuł dowcipu jaki tak trafnie okazał; co mnie tém mocniéj rozśmieszyło.

Następnie mówiliśmy o oczynszowaniu włościan. Opinij Pana Stanisława w tym przedmiocie, jako zgodnéj z moją, tutaj nie powtarzam. Jeżeli znajdę ciekawych, niech raczą zajrzeć do dawniejszych numerów Przeglądu Naukowego.

— „Gdzie P. Wojciech dzisiaj, że nie był na objedzie i do téj pory go nié ma?“ zapytał ks. Proboszcz. Odezwałem się, żeśmy rozjechali się; Wojciech pojechał na jarmark, lecz obiecał tutaj przybyć. Miejscowi spojrzeli po sobie.—P. Wojciech nie przyjechał.

Józef K.

TURZO,

RYCERZ WĘGIERSKI.

Posłuchajcie człowieka, co przybywa z-daleka,
Aż z za Karpat tu przyszedł dla chleba;
Kiedy pora się zdarza, posłuchajcie druciarza,
Kupcie sobie co komu potrzeba.

Kupcie sobie odemnie, a więc nie nadaremnie
Do was towar swój lichy przynoszę;
Jakże wyście dobremi! gdy wrócę do swéj ziemi,
Ludzkość waszę mym braciom ogłoszę.

„Bóg w dom, gość w dom" przysłowie, mieli wasi ojcowie,
Przybyłego witając Słowaka;
Wszakci Lechja oddawna z gościnności tak sławna
W dziejach świata, i dotąd jest taka.

Gdziem jest, każdy mię wita; co tam słychać? zapyta,
Jakby w nas rodzonych miał braci;
Tyle waszéj pamięci, czém-że biedak uświęci,
Czém za dany posiłek zapłaci?

Oto przy mnie siadajcie, moich gadek słuchajcie,
Powiem o czém wy pewnie nie wiecie:
Powiem o méj krainie i o mieście Trenczynie,
O tym grodzie przesławnym na świecie.

Kto spragniony nowości, niechaj do nas zagości,
Zdrowy, niechaj przyjedzie na wino,
A na chorób przygody, u nas zbawcze są wody,
Że słabości wnet od nich przeminą.

Stoją szczątki twierdz dawnych, zostawione od sławnych
Owych Rzymian, co byt swój skończyli —
Góry tam niebotyczne, oraz zamki rozliczne,
Których dzielni rycerze bronili.

O tych sława jest święta; tak się wiecznie pamięta,
Mniejsza z tém że przemilczą ją *dzieje*,
Kiedy ta między Ludem, jakoby jakim cudem,
W prostéj pieśni, w powieści istnieje!

O! ich sława tak płonie, jak w naniebnych gwiazd gronie
Jarkim blaskiem naczelne lśnią gwiazdy!
O! waleczni-to byli — a jak tęgo gromili
I Tatarów i Turków najazdy!

A pomiędzy innémi, słusznie najdzielniejszémi
Wojak Turzo umieszczon być może:
Postrach wrogów gdy w boju, jak najmilszy w pokoju —
Takim mężom we wszystkiém szczęść Boże!

Umiał dobrą dać radę, uprzyjemnić biesiadę
    Swym dowcipem, śpiéwami i tany.
Albo swemi zalety, zjednać serce kobiéty,
    Jak pozyskał od pięknéj Stefany.

A to była jedyna, córa hrabi z Trenczyna,
    Pana zamków i włości i grodów.
Miał on synów, lecz nimi brzydził się jak nie swymi
    Bo nie dali mu męstwa dowodów.

Więc rycerza owego, jak najchętniéj za swego
    Przyjął zięcia — do dzieci zaś mówi:
„Jako ziemi mam wiele, tak ją dla was rodzielę,
    Dam część równą każdemu synowi.

Lecz mój gród w posiadanie ten z was tylko dostanie,
    Kto największéj zręczności dokaże:
Znak wystawią na wieży; tego, kto weń wymierzy,
    Ja piérwszeństwem w rodzinie obdarzę."

Jeden Turzo śród wielu zdołał trafić do celu,
    I ma zamek. — Hrabiego synowie
Wnet się w podróż wybrali, w inny kraj odjechali,
    I przychodzień nic o nich nie powie.

„Sławny Turzo" powiecie — a jednakże na świecie
    Pełno błędów — my wszyscy je mamy;
Nié ma światła bez cienia, bez wad nié ma stworzenia,
    I na słońcu podobno są plamy.

Toć nie zrobię nic złego, i imienia takiego
Wcale moją powieścią nie skażę,
Gdy z czynami wielkiemi, zaszczyt przynoszącemi,
Stronę słabszą wam tutaj wyrażę.

Po tureckiéj wyprawie, cesarz bardzo łaskawie
Powziął ufność ku niemu i względy,
A za męstwa dowody, i dla zasług nagrody,
Chciał go wynieść na piérwsze urzędy.

Wnet się droga otwiera, bo ze świata śmierć zbiéra
Rządce naszéj Węgierskiéj krainy,
Turzo mniema w téj zmianie, że wybranym zostanie,
A tak sądząc, miał pewne przyczyny.

A więc rzekł do jednego towarzysza swojego:
„Cóż gdy cesarz sam wybrać mię raczy?"
— „O, w tym razie, ten rzecze, wolno-ć będzie człowiecze,
Mnie powiesić, jeśli cię naznaczy."

Alić wkrótce się zdarza, że za wolą Cesarza
Został rządcą. Rozkazał więc sługom:
„Do Trenczyna się spieszcie, tego człeka powieście,
Tak mi wolno —" — Jednakże nie długo

Na swym poznał się błędzie, widział że coś źle będzie,
Chciał niebaczne odwołać wyroki;
Lecz w zapóźnéj już chwili, drudzy gońcy przybyli —
Jest wisielec i słupiec wysoki!

Słyszy Turzo nowinę, czuje wielką swą winę,
Żalem zdjęty, sam siebie oskarża
I na zbrodni zmazanie, na trzyletnie wygnanie
Osądzony za wolą cesarza.

A po czasu upływie, wrócił, i tak gorliwie
Rządził państwem, iż w całéj krainie
Wszyscy pomni na dawne dzieła wielkie i sławne,
O spełnionym nie myślą już czynie.

Moi drodzy i mili, u nas gdybyście byli,
Stoi słupiec kamienny w Trenczynie,
Na nim zbrojna w miecz ręka, w znak, niech każdy się lęka,
Bowiem kara przestępcę nie minie.

Być tu dłużéj nie mogę, muszę w dalszą iść drogę;
Czém gościnność odpłacę? — dziękami!
Mieć was będę w pamięci, niech wam dobre Bóg święci —
Moi ludzie! ja żegnam się z wami.

A. Zawadzki.

Z DRAMATU OBYCZAJOWEGO

OSTATNIA Z ROŻYŃSKICH.

ODSŁONY PIÉRWSZÉJ, SCÈNA PIÉRWSZA.

Komnata dworska zamku Rożyńskich strojna w portrety, łupy Tatarskie i Tureckie, Buławy, sprzęty starożytne. Pora wieczorna

Euzebia Rożyńska. (*) — Graf Anhol Alessandrini. *(snać w ważnéj rozmowie)*

Graf *(jakby kończąc swą mowę).*

Smutny to był obowiązek Mościa księżno, ależ rycerska cnota na mnie go włożyła. O tak! od ośmiu wieków żaden Alessandrini jeszcze nie ścierpiał by w jego obliczu opromienioném chwałą tylu świętych rycerzy, tak nikczemnie oszukiwano niewinność!

(*) Chociaż w czasie zdarzenia, na którém niniejszy dramat osnułem, Kniaziowie Rożyńscy dawno nie istnieli, pozwoliłem sobie z przyczyny bliskości czasu, pożyczyć imion téj zgasłéj rodziny Jagielońskiego szczepu dla bohatérów méj powieści, aby osłonić niémi żyjące dotąd miana rzeczywistych tejże aktorów. *Przy. Autora.*

Euzebia *(żałośnie)*.

Niewdzięczny! To-myśmy mu na oścież rozwarli nasz książęcy dworzec i serce, z poczciwą wolą spieszyli złożyć w jego dłoń, ostatni kwiat z świetnego Rożyńskich szczepu, i jeszcze tak czarno odpłacić nam przyszło?!... *(nagle)* Ale nie.... to nie sposób!...

Graf.

Mościa księżno! chcecie więc tęższych dowodów jak pisma wydartego z głębi jego duszy, jak obrazu *(pokazuje jéj portrecik)* téj pysznéj współzawodnicy, co śmiała zdeptać w jego sercu potomkę królów i Bohaterów?

Euzebia *(płacząc)*.

Boże!

Graf *(oglądając portret)*.

Ha zaiste! było dość wdzięku by czém zwyciężyć niewinną jak dziecina, czystą jak lilia Palenę.... *(nagle z uniesieniem)* o boska Italio! bodaj-to gdy krew Twych synów wre po żyłach człowieka! o nie tak łatwo rozbić mu sławę i uczucie własnéj godności!

Euzebia *(dumnie)*.

Mości Hrabio! a waszmość marzysz miałko, że go nie staje prawnuczce Witolda? W istocie za hardem było wasze słowo szlachetny Panie.

Graf.

Daruj mościa księżno. Za podle grano o jedno ze znaczniejszych imion téj Rzplitéj, by krew młoda patrząc nań, nie zakipiała warem. Tadeusz Monwid przeniewiercą! Wola dać temu wiarę; błogo wam! Nie, zaprawdę bodaj nie przyszedł dzień, w którym krwawemi łzami pożałujesz księżno słowa Wenecijanina! Czytaj Wasza Książęca Mość ten list, wszak znana Wam jego ręka?

Euzebia (*z boleścią*).

Własnemi oczyma patrzyłam 20 wiosen jak ją do pióra i szabli wkładano!

Graf (*z przekąsem*).

I włożono pięknie (czyta). „Trzeba łudzić świat jak można, moja Bogdanko! Dziedzictwo Rożyńskich warto roztrącenia kilku podków po marmurowych dziedzieńcach ich wysokiego dworca.“

Euzebia.

Nikczemny!

Graf (*czyta*).

„Jak orzeł wykradzion z gniazda, jestem schowany w ich domu. Za wolność rzucano mi kawały chleba, rzucano cacko dziewczynę; ale orzeł, pan niebios plunie na ziemskie igraszki, ale orli dziób i szpony krwią płacą za niewolę! Ja nie kocham Paleny, ja niemi gardzę wszystkiemi w okół....

Euzebia.

Dość, dość przez litość!... On gardzi! ale nie zaznał co to pogarda Rożyńskich. Zostałyśmy sieroty na świecie! Rozwiała się potęga Panów Ukrainy, co grzmi bywało, od Moskwy po złote Carogrodu wieżyce, śpią cicho w grobach miecze u lewicy rycerzy! — Ale stoi jeszcze dzielność nasza, wola i książęce serce, i jeszcze Euzebia podoła zgnieść swych wrogów, tak jak ten marny bohomaz (ciska portret o ziemię), a podać dłoń druhom i obrońcom, jako wam Grafie! Stanie się zadość Waszmości żądaniu. Palena odtąd do Pana z Bożegrozy należy. Nasze kniaziowskie słowo!

Graf.

Ufam, o boć takiemu słowu miléj zaniemieć na wieki, niźli skłamać samemu sobie.

Euzebia.

Bez pochlebstw Grafie. Łzom teraz płynąć nie różanéj mowie.

Graf.

Prawda nie jest pochlebstwem księżno; tak jak i ufność W. Ks-Mości nie będzie głosem konającym na puszczy.

Euzebia.

Waszmości, pogodna dusza Grafie, mnie, rękojmią sława. Zresztą komu raz zaufa jedna z Rożyńskich, to ani żadne usta, ani łza żadna, choćby tak jasna jak wasze słońce, ani miecz żaden choćby tak ostrzon jak sztylet Wenecki, nie rozbije mi téj wiary, tak jako mi ją wraził. Do widzenia Grafie Alessandrini. (chce odejść).

Graf (*szydersko się uśmiechając*).

Jeszcze słowo księżno! Szlachetni opiekunowie nie zapomną zda mi się, prawa swojego, i wszystką siłą za nim stawać będą. Umiéj W. K. Mość i z Mężami poharcować jako dzielni poczynają z Młokosem.

Euzebia.

Bąć spokojny Grafie. O! i kobiéta lwicą, gdy jéj idzie o cześć. (odchodzi)

Graf.

Przedewszystkiem tajemnica, tajemnica grobu!...

Euzebia (*od drzwi*).

Ufajcie ustom moim. (*wychodzi*)

Graf (*Sam, chytro, ze złością*).

Ufajcie!.. ha! ha! Ah ty mnie nie ufaj, nie ufaj córo Ewy!. Bo pyszny Ital! Wezuwiusz mu bratem. Po wierzchu zasłan

kwieciem jak rajski ogrojec, a w łonie piekło mu dyszy. Ale któż zdoła zajrzeć jakie tam żary pod skorupą wiosennych wieńców? kto może zbadać Itala!?...

ODSŁONY DRUGIÉJ, SCENA PIÉRWSZA

Ogród piękny, sielski widok. Słońce zachodzi. PALENA ROŻYŃSKA i TADEUSZ MONWID chodzą rozmawiając.

Tadeusz.

Tak miną dni nasze złote Paleno, jak ono słońce, co dopiéro weszło i już się kędyś za światem układa; ale jak to słońce nie zgaśnie na niebie, tak i moje kochanie.

Palena.

Tadeuszu! Ah gdy słońce zasuną gradowe chmury, to i żegnaj go na wieki!? ażaliś go rozgromić nie silny? Wiesz, zmienne są rzeczy tego świata. A jeśliby téż, czego nie daj Panie Boże! Panowie opiekunowie odmówili Ci méj ręki i przysięgli że nigdy....

Tadeusz.

A mój kord, czyż-że już skałą przyrosł do lewicy? Czy ja tak wiele rzucam na szalę losu? marny żywot, a oni, Ciebie Paleno! A za taką nadgrodę niewartoż poigrać ze śmiercią?!

Palena.

A gdyby i Matka księżna...

Tadeusz.

To Ty Paleno zemną, i Bóg zemną! on nie dozwoli mi upaść!

Palena (*z wysileniem*).

A gdybym i ja Ciebie odepchnęła, a ukochała innego, a sztylet zemsty drżał u Twego boku...

Tadeusz (*Boleśnie*).

To ja precz rzuciłbym zbójeckie żelazo, jako wszystką myśl szatańską, jak wszystko moje szczęscie, i bratnim uściskiem powitałbym Twoją przyszłość nową i milczałbym na wieki, a jednak na wieki Cię kochał!

Palena (*padając w jego objęcia*).

O błogo komu dano przytulić się do takiéj duszy! Daruj luby mym słowom, toć widzę jaką boleścią rozegrały się po Twém sercu. O ja Ciebie nieodepchnę choćby oni Cię odtrącili. Przysięgam! jam już Twoja, albo niczyja na ziemi i w Niebie!

(*księżna Euzebia wchodzi i staje niepostrzeżona za niemi*).

Tadeusz (*namiętnie*).

Aniele mój! a czyż pragnę co więcej jak Ciebie? Oko Twoje za bladoż jeszcze żarzy, by nie rozjaśnić świat wszystek? a Twojéj duszy głąbie za miałkież by skąpać w nich myśl i serce, a wysnuć dzielnego czynu wątek! O jakże będziem szczęśliwi kiedyś!

Euzebia (*gromko wchodząc między nich*).

Nigdy!

(*Tadeusz i Palena przerażeni, odskakują od siebie*).

Palena.

Ach!

Euzebia (*szyderczo a groźnie*).

O pomału! pomału Mości Starosto, nie wydzieraj tak hardo

przyszłości z bożéj ręki. Jeszcze nie w Waszéj mocy ofiara, a jeszcze dość silny ten dworzec Rożyńskich by go jedną roztrąconą podkową zwojować.

Palena.

Matko! co Wam?

Tadeusz.

Księżno! co to znaczy?

Euzebia.

A, co to znaczy? — co znaczy? — Ha Mości Starosto, wyśmienicie grasz Waszmość swą rolę!

Tadeusz.

Ah! ja Was nie rozumiem księżno.

Euzebia (*nagle*).

Ho! nie rozumiéj! nie rozumiéj, chociaż to wola z ust słabéj niewiasty; ale zrozumiesz ją do syta, gdy Ci mieczem męże zaświecą nad przeniewierczą głową grzeszniku. Nie tak u nas obyczaj postępować z wnuką królów, jakom Was przed chwilą nalazła, by z ostatnią z ulicznic. Za kniaziów progi, na nogi wasze Mości Starosto, a Waszmości czoło choć hardе, choć miedziane ale za — podłe.

Tadeusz (*ostro*).

Księżno! krzywdzisz mnie Wasza Mość!

Palena (*do Tadeusza*).

To Matka moja!

Euzebia.

Krzywdzisz? ha! ha! Niebożątko! krzywdzisz! to za nadto, ja Cię zbezczeszczę, ja sponiewieram Twą godność!

Tadeusz (*szlachetnie*).

Niedałaś mi jéj Pani, nie Waszą rzeczą odebrać; odemnie

wyszła ja sam ją tylko zniszczyć mogę. *(ostro)* Ale Wasze słowa księżno!..

Palena.

Milcz przez Boga!

Tadeusz.

Tak chcesz? Paleno, jam dla Ciebie samą zniewagę znieść zdolny! Księżno, odgaduję całą czarną sieć intrygi, co snują źli ludzie w okół oczów waszych! Ale przebaczam Waszéj Mości choć uwierzyliście, bo Wy nie mężem, Wy woskiem, Niewiastą tylko, i milczę, lecz odchodzę, bo krew nie woda. Paleno bądź zdrowa *(całuje jéj rękę)*. I to dla Ciebie! *(odchodzi spiesznie)*.

Palena (*płacząc*).

Tadeuszu! *(chce iść za nim)*.

Euzebia (*wstrzymując ją*).

Ostań córo nasza! Nie Twoja godność biedz za jednym....

Palena.

Matko! ja jego kocham, a toć nie grzech przecie, bo tak nas konający Ojciec połączył, bo takeś go ty matko własném dzieckiem zwała...

Euzebia (*smutno*).

Nigdy!... Dziś czas już inny i ludzie inni Paleniu! Dziś.... niepytaj o przyczynę, otrzyj mi tylko te oczki kochanie, *(ociera jéj oczy i całuje w czoło)*. Chcę by tak świeciły, jak żadna gwiazda na niebie, jak żadnéj litewki oko. Abyś jedném wejrzeniem zgniotła nawet Anioła, gdyby śmiał zaćmić twą krasę!.. Przyjdzie czas, dowiesz się reszty, i nie będziesz płakała na tę dłoń, bo to dłoń macierzyńska co Was rozdziela. Dziś miej jedno odwagę dziecię kochane. Wszak bije jeszcze w tobie krew Gedyminowa?!

Palena.

Odwagę? Matko! Gedyminową wnukę o nią pytasz? Matko! daruj ale ta sama krew, co lała się bywało, kędykolwiek zeszło słońce wielkości, podoła jeszcze choć w słabéj dziewczynie, dziś wymknąć, i jak Bóg na niebie, Tadeusz mój, albo grób mój! *(odchodzi spiesznie).*

Euzebia (*Sama, po chwili radośnie*).

To moja krew i dusza moja!.. Boże! błogosław jéj... Boże! *(boleśnie)* Ach czemuż na mnie nie spuściłeś Twéj kary, a nie ochroniłeś dziecięcia mego. Ona tak wierzy w tego niegodziwca, ona nie zniesie tego, a jam niesilna jéj przeczyć. Boże litości! miłosierdzia dla niéj, nie dla mnie! Gdyby to było nieprawdą! Ale Graf Alessandryni, taki szlachetny cudzoziemiec, on by nie umiał zwodzić!.... Ale otóż i oni, precz łzy, *(ociera oczy)*. Héj do walki Rożyńskich duszo!

St. Ch.

ZGODA

czyli

POJEDNANIE SIĘ BRACI.

(Trajedija Körnera).

Scena Piérwsza.

Klara siedzi za kołowrotkiem. Konrad w stroju myśliwskim zatrudniony czyszczeniem strzelby.

Konrad. Patrz luba żono! to strzelba ta sama,
Z którą ja niegdyś nagrodę otrzymał
Kiedym Cię poznał wśród igrzysk tarczowych.
Mimo, że brat mój, miał od ojca słowo

Na Twoją rękę, nie wiem jednak czemu,
Serce się tajném przeczuciem łudziło,
Że Ty mi moje szczęście w kwiat przystroisz.
Jakby wśród musztru, serce biło trwożnie:
Gdym kulą w oczach naszego hrabiego,
Gołąbka z szponów jastrzębia uwolnił.

Klara. Pomnę, jak wówczas Wilhelm podszedł ku mnie:
„Ten dziarski strzelec, jest to brat mój Konrad!"
Rzekł, skinął na Cię, a kiedyś się zbliżył....

Konrad. Wnet dziwny ogień, serce me ogarnął.

Klara. Mnież było łepiéj? czyliż mogłam znaleść
Słowo dorzeczne, gdy zbliżył ku tobie
Swą niemą młodę? Czyż wówczas twarz moja,
Widocznym ogniem strasznie nie gorzała?
Rumieniec jagód zwał wstydem dziewiczym,
Gdy ten był hojnym, wybuchem miłości.

Konrad. Brat mnie wciąż trącał: „czegoż jak pień stoisz?
„Nic-że nie powiesz tak pięknéj dziewczynie?
„Wszak zwykleś w słowach nie bardzo oszczędny!"
Lecz ja tą razą jak dziecko strworzony,
Jąkałem, *skubiąc* mój kapelusz w ręku.

Klara. Wtém do strzelania twój numer wezwano.
„Co strzał mój zyska to dla pięknéj Klary"
I z tem-eś odbiegł.

Konrad. Strzelba się chwiała,
Drżącą-m ją dłonią do szczęki przyłożył;
Czułem że niby, ten strzał mi Cię zyska.
Wzmocniłem ramie, śmiałom wziął na oko,
I kula moja trzy zbiegła pierścienie.

Klara. Wnet też z tryumfem prowadzili Ciebie:
Za strzał królewski z twéj ręki, w nagrodę
Jedwabną chustkę tobie przeznaczono.

Konrad. Pomnę tę chwilę; Gdym ją przyniosł Tobie
W sercu jak w maju, tak się rozjaśniło.

Klara. My piérwszy taniec z sobąśmy tańczyli.
„Oto mi para! z ust do ust chodziło;
Ledwom zmysłów nie straciła.

Konrad. A brat mój
Zmarszczywszy czoło, na stronę twarz zwrócił;
Potém Cię nagle wyprowadził z koła,
I wiódł do domu. Wtenczas mi się zdało:
Że z tobą znikły radość i wesele.
Cóś mię pognało do mrocznego lasu,
I gdybym tam gdzie spotkał, Bratu memu
Boże mi przebacz, nie wiem coby było?...

Klara. On naglił ojca o rychłe wesele;
Żem była dzieckiem i nie miałam woli,
Więc mię pojąwszy, powiódł do obozu:
Jednak choć Ciebie raz tylko widziałam,
Twój drogi obraz z duszy mi nie znikał.

Konrad. A ja tymczasem wesołość traciłem;
Samem nie wiedział, co się ze mną działo.
Dobry mój ojciec, który krasę lica
Hożego syna wciąż widział gasnącą,
Napróżno pytał o mój cichy smutek.
Wojna się wszczęła, mąż twój poszedł na nią:
Dwóch bitw przegranych wkrótce wieść dobiegła,
Że Wilhelm poległ głośno powtarzano.
Zbiegi, co do wsi naszéj powrócili,
Stwierdzili równie śmierć jego. Nasz ojciec
Rzewnie go płacząc zamknął się w alkowie;
Jam łez nie uczcił, niech mi Bóg przebaczy!
Myśmy się zdawna nie lubili z bratem;
A gdym Cię ujrzał w jego posiadaniu,
Związki się nawet krwi naszéj rozprysły!

Klara. Ojciec twój pisał, ażebym wróciła:
Chcąc mnie pocieszyć i sam chcąc pociechy.
Przybyłam. Nogi moje drżały, kiedym

Stąpiła na próg, gdziem Cię znaleść miała.
Tyś był tak skromny; wrzącém nawet słówkiem,
O téj miłości która Cię trawiła,
Ust nie zdradziłeś. I gdyby twój ojciec
Ze śmiertelnego nie przemówił łoża,
I błogosławiąc rąk naszych nie złączył:
Mybyśmy jeszcze milczeli, wzdychali.
Dzisiaj już śmiało biedz w twoje objęcia,
I do twéj piersi przytulić się mogę!

Konrad. O' luba Klaro! czyż mogłem przeczuwać,
Bym kiedy w życiu był jak dziś szczęśliwym?
Jeśli me szczęście nie jest snem zwodniczym,
Kiedy duch zgasłych chwałą otoczony.
Z miłością jeszcze ku ziemi poglądo,
I szczęściem druhów cieszy się weseli;
Pewnie i Wilhelm z uśmiechem wzrok rzuca
Na czyste kwiaty błogiéj naszéj doli.
Wesoło na jego mogiłę.

Klara. On umarł
Dla mego szczęścia. Niech mu Bóg to płaci!
Dobry był człowiek, choć trochę przyostry.
I jam też po nim łez nie udawała.

Konrad. *(zabierając się do wyjścia)* Muszę droga żono!

Klara. Wszak rychło wrócisz?

Konrad. Prędko!

Klara. Nie baw tylko
Długo, wszak sam wiesz jak to mię zasmuca.

Konrad. Nie trwóż się! Daj pocałunek; bądź zdrowa!
(odchodzi przez drzwi środkowe).

Scena Druga.

(Klara sama jedna woła za Konradem).

Uiść się! słyszysz? Niech cię Bóg prowadzi!

Poczciwy Konrad, jak mię szczerze kocha.
Czémże mu miłość tak wierną nagrodzę?
(stając u okna)
Jeszcze go widzę, szle mi pocałunki.
Bądź zdrów mój drogi!.... już mi znikł za węgłem.
Od trzech miesięcy jestem jego żoną,
A jednak dotąd przywyknąć nie mogę,
By pół godziny przepędzić bez niego.
Jak-bo on miły! Z okna téj komory
Może go dojrzę. Trzeba poprobować;
Prawda, wieczorny zmierzch ściemnia dolinę;
Lecz dla kobiéty oka jeszcze jasno.
Nié masz tam nocy, gdzie miłość przyświéca.
(odchodzi na prawo).

(D. c. n.)

Kronika

PIŚMIENNICZA POLSKA.

Historija Zgromadzeń prawodawczych, konwencyi narodowéj i dyrektorijatu, czyli Francija od 1789 do 1800 r. z francuzkiego (Thiers'a) przez Leona Rogalskiego. T. I Warszawa Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. 1845. str. 565, w ósemce wielkiéj.

Jeszcze w Numerze 14 pisma naszego, ogłaszając wyjście Historii Konsulatu i Cesarstwa Thiers'a, oznajmiliśmy życzenie, (będące mniéj-więcéj życzeniem powszechném) ujrzenia w przekładzie polskim, piérwszego dzieła Thiers'a, stanowiącego niejako jednę całość z dziejami Konsulatu. Żądanie skwapliwych czytelników ziściło pióro znane tak chlubnie w pismiennictwie naszém. Jeden też z najpokwapniejszych księgarzy polskich nie poskąpił na wydanie dobre, piękne, niewyrachowane tylko na objętość, jak zwykle nasi księgarze robią, ale ścisłym drukiem, po 40 wierszy na stronicę odtłoczone.

Cóż powiemy o wewnętrznéj dzieła wartości, i na jego pochwałę? — Europa cała była już sądem i wyrok nieodwołalny wydała. Zdania zaś Guizota i jemu podobnych, jakoby Thiers nie *Dzieje* lecz *Romanse* pisał; możeby wypadało wziąść tylko za dowcip w towarzystwie od niechcenia rzucony *(bon mot)*, albo raczéj, jak niektórzy postrzegacze ostrzejsi chcą uważać, — za *jalousie de métier ou de merite*,— ale nie za wynik ostateczny bezwzględnéj i bezstronnéj krytyki.— Gdy wyjdzie całe dzieło w przekładzie polskim, obszerniejszego rozbioru dać nieomieszkamy. Tymczasem donosimy, że Historyi Konsulatu i Cesarstwa, jest już 4 zeszyty w tłumaczeniu polskiém.